

„Robin McLean postrzega świat w sposób dotąd nieznan w literaturze. W książce *Pożałowania godne zwierzę* jej bystre oko śledzi zachowania człowieka we wszystkich jego zwierzęcych przejawach, jednocześnie przypominając nam, że brzydota nie domaga się oceny moralnej, lecz uważności. McLean utrzymuje, że jeśli stawimy czoła temu, co w nas najgorsze, jeśli znajdziemy jakiś sposób na wyrażenie tego, co zobaczymy, wyłonimy się być może poturbowani, ale pełni współczucia, o którym nie mieliśmy pojęcia – ani że w nas jest, ani że go potrzebujemy”.

Karen Shepard,

autorka *An Empire of Women* oraz *What Have We Done*

„Podobnie jak w 1992 roku, kiedy w jednej z waszyngtońskich księgarni ledwie przeczytałem parę pierwszych stron *Ręcznych koni*, od razu wiedziałem, że trafiłem na człowieka pióra, którego umiejętności i wrażliwość szybiują w stronę czegoś ekscytującego i zupełnie nieznanego... Jednak podczas gdy Cormac McCarthy użył swego talentu, aby twardo przedstawić znany nam dobrze Zachód, Robin McLean zmienia zasady gry, ster oddając kobiecie. Mimo że *Pożałowania godne zwierzę* jest powieścią na wskroś feministyczną, ani jedno jej zdanie nie namawia, ani jedno słowo nie wskazuje na jej polityczne tło. Gwiazda Robin McLean dopiero wschodzi, ale za jakiś czas być może będziemy o niej mówić »mistrzyni literatury«.

Richard Wiley,

autor *Soldiers in Hiding*

„Oto powieść, która sprowadza nasz gatunek do właściwego mu poziomu zwyczajności – mówiącego zwierzęcia. Zaczynając od późno dojrzałego zastępcy szeryfa, na jego Wielkiej Rezydencji skończywszy. Robin McLean nie boi się rozmachu, ostrożnie podchodzi do luksusu miłosierdzia. Pochłonęłam *Pożałowania godne zwierzę*, oszołomiona dzikimi i spektakularnymi zwrotami akcji”.

Noy Holland,
autorka *Bird*

„Jak każdy porządny western, *Pożałowania godne zwierzę* obfituje w żywioły natury, których w takiej prozie zabraknąć nie może: błoto, brud i pył, muchy, ogień i odchody, destylaty duchowe i pitne oraz – oczywiście – seks. McLean opisuje osiągnięte w pocie czoła *sacrum* oraz wonne *profanum*, a jej groteskowe ujęcia wręcz krzyczą do nas ze stron jej książki. Oto nadchodzi spadkobierczyni Cormaca McCarthy’ego – pióro na jego gardle, jej proza obryzgana krwią, skąpana w słońcu, całkowicie jej własna”.

Hal Hlavinka,
Community Bookstore, Brooklyn



POŻAŁOWANIA GODNE ZWIERZĘ

ROBIN MCLEAN

PRZEŁOŻYŁA

KATARZYNA BYŁÓW

Tytuł oryginału: *Pity the Beast*
Autor w oryginale: Robin McLean

Tłumaczenie: Katarzyna Byłów

Copyright © Robin McLean
Copyright © for the Polish translation by Glowbook, 2023

Wydawnictwo Glowbook
ul. Kolegiacka 2/2
98-200 Sieradz
www.glowbook.net
kontakt@glowbook.net

Projekt okładki:
Gabriela Mendes – @boemastudio

Zdjęcie:
Melissa Guerra

Redakcja i korekta:
Monika Łojewska-Ciępka

Skład i łamanie:
Justyna Kramarz – Studio Grafpa, www.grafpa.pl



Druk:
JW Projekt

ISBN 978-83-67503-02-0

Spis treści

ROZDZIAŁ I

PERSZERON 11

ROZDZIAŁ II

Niedźwiedź 77

ROZDZIAŁ III

PioniERZY 165

ROZDZIAŁ IV

PiES 245

ROZDZIAŁ V

Muł 287

ROZDZIAŁ VI

DRZEWO 353

Dla Cindy, spełniając obietnicę.

Dla Marsh, która została w tyle.

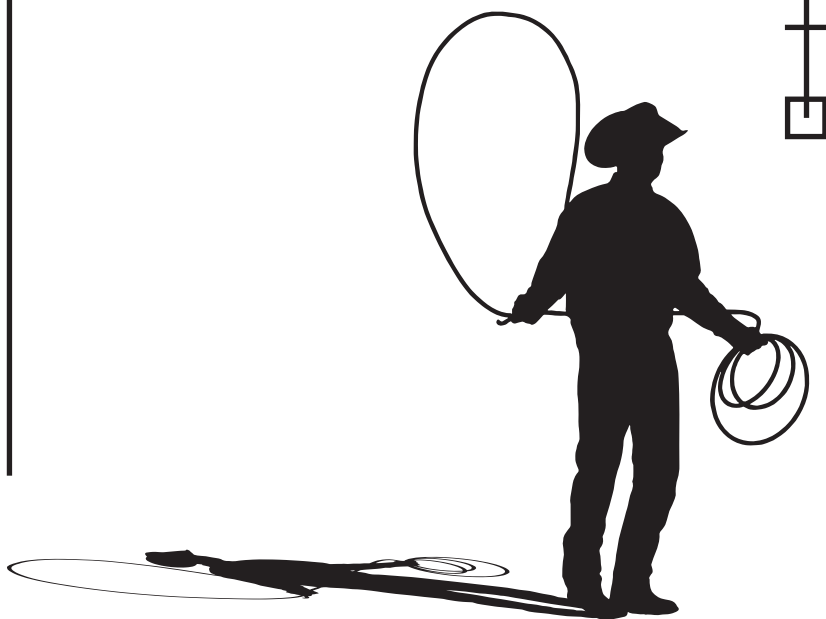
Dla Margaret, zawsze.

*Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie
i abym odeszła od ciebie,
gdyż: gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę,
gdzie ty zamieszkaż, tam ja zamieszkaż,
twój naród będzie moim narodem,
a twój Bóg będzie moim Bogiem.
Gdzie ty umrzeż, tam ja umrę
i tam będę pogrzebana.
Niech mi Pan to uczyni i tamto dorzuci,
jeżeli co innego niż śmierć oddzieli mnie od ciebie.*

Rt 1,16–17 (przytoczony tekst według
IV wydania Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo
Pallottinum, Poznań 2003).

ROZDZIAŁ **PIERWSZY**

PERSZERON



Niegdyś tutaj, na tej wyżynie, były jedynie Koń, Niedźwiedź, Nosorożec. Żadnych słów na rzeczy, żadnych nazw. A teraz? Ginny i Dan w stodole i takie oto słowa:

– Dopierdoliłaś mi, dopierdoliłaś mi na cacy.

Spoza ciężko dyszącej klaczki Ginny powiedziała:

– Odeszły jej wody. Przebiłam worek.

– On pierdolił ją, podczas gdy ty pierdoliłaś się z nim, w ten sposób dopierdalałam mi na cacy – powiedział Dan. – A teraz ten żrebak jest dla niej za duży.

Odpędziła muchy. Jej kapelusz był brudny od błota, a kombinezon miała rozpięty do pasa. Jeden rękaw zwisał luźno aż do kolan, drugi do połowy wywleczony był na lewą stronę. Rękawy flanelowej koszuli zakasała aż po łokcie. W otwartych drzwiach niczym pszczoły i muchy wirował pył.

– Ten żrebak wywróci ją na lewą stronę – powiedział Dan. – Ten żrebak ją wykończy.

– Nikt nie wie, jak się sprawy potoczą.

– Jak się potoczą, jak się potoczą... – powiedział. – Popatrz tylko na jej bebech. – Splunął, grzebiąc butem w pyłe. – Popatrz na męki niewinnego stworzenia.

Ginny również splunęła.

– Popatrzeć? – powiedziała. – Mam robotę.

Ginny już od świtu pełniła w stodole rolę akuszerki. Dan zajął się bydłem. Większość stada pstrzyła już wschodnią część łąki południowej,



wypaloną dwa tygodnie temu i już zazielenioną. Zwierzęta skubały trawę. Dan był punktualnym rolnikiem. Używając laski, przepędził je wcześniej przez bramkę: jedną czarną, jedną białą, a potem łaciatego buhajka. Cielę odwróciło głowę i przystanęło na chwilę, wsłuchując się w odgłosy dobiegające ze stodoły: uderzeń kopyt w ściany boksu, przewróconego kopnięciem wiadra.

– Spokojnie, spokojnie – kojąco powtarzała Ginny.

Byczek pobiegł w stronę stada rozproszonego pomiędzy głazami i kępami trawy, skubiącego, srającego, smagającego powietrze ogonami. Za tydzień usuną mu jądra. Dan nasłuchiwał, co dzieje się w stodołę pokrytej czerwoną, łuszczącą się farbą, podobnie jak szopa, której ściany odchyliło od pionu ostatnie ćwierćwiecze. Kiedy kopyto znów uderzyło w ścianę boksu, rynna zadrżała aż po czarną otchłań pustego stryszku na siano. Kot wyślizgnął się z jamy szopa pracza. Poranek to najlepsza pora na męki rozmnażania. Wszyscy to wiedzą.

Siedem koni – małe stado – także pokołysało się na wybieg o zwykłej porze. Z przodu szedł izabelowaty, ostatni zaś kasztan, tuż za muskularnym i krępym cobem. Te w środku grupy wzajemnie podskubywały sobie szyje. Zbiły się w gromadę przy ogrodzeniu i chłoneły nowe powietrze. W ślad za nimi wysunęła się mała klaczka, kucyk. Była drobniutka już kiedy kupili ją na licytacji w fabryce konserw i nawet teraz widać było po niej jeszcze skutki przymierania głodem. Z trudem przecisnęła się przez uwiąz i, minawszy Ginny, podażyła za stadem. Była mieszańcem o gniadej maści. Idąc, kołysała swym rozдутym brzuchem. Było jasne, że dopadł ją perszeron Shawa. Ostatecznie czymże jest monogamia dla konia? To dyscyplina rzadko spotykana w królestwie zwierząt. Przez miliony lat, pasąc się na tych łąkach, pierwotni mieszkańcy Wielkich Równin nie zaprzęтали sobie nią głowy. Wiernością przejmowali się tak samo jak Koń, Nosorożec i Tygrys Szablozębny przejmowały się płytami kontynentalnymi cierpliwie ścierającymi się pod powierzchnią ziemi. Całe tysiąclecia zajęło nam dojście do tego, że zarówno ziemia, jak i dobry seks toczą się własnym

trybem i mogą obrócić się przeciwko nam, jeśli nie będziemy mieć się na baczności. Ostatecznie jednak, czymże jest ziemia dla konia?

– Jak mogłaś? – powiedział Dan w ścianę stodoły. – Dopierdoliłaś mi.

Dziesięć lat po ślubie. A wcześniej dziesięć lat zakochania. Nadal był młodym mężczyzną.

– Uspokójże się – powiedziała Ginny, wychodząc za kłaczką na dniejący świat. – Nic nie mogę zrobić, jeśli mnie kopiesz.

Dan złapał w dłoń muchę. Powiedziałyby o niej Ginny, jeden z ich wspólnych żartów. Jak tylko dotrze tu słońce, na podwórku zaroi się od much, *spokojnie, spokojnie*, już niedługo, już za kilka godzin. Na razie pasmo Mormora nadal rzucało swój długi błękitny cień, a muchy były młode, zziębnięte i otępiące od dymu. Przez bramkę przeszły ostatnie cielęta. Kolejne czarne i znowu białe, a potem to chrome na krótkich nogach, kilka jałówek, wcale nie niecierpliwących się, bynajmniej nieuprzejmych. Dan klepnął je po zadach, a one w podskokach ruszyły przez pastwisko w poszukiwaniu swoich matek. Nad ziemią unosiła się jeszcze mgła, czekając na powiew wiatru. Powinien zapomnieć o tej musze.

– Wyciągniemy z ciebie tego źrebca – mówiła Ginny. – Obiecuję.

Teraz konie. Kłusujące wzdłuż ogrodzenia i grzebiące kopytami. Mała kłaczka za nimi. Dan przekierował pierwszą siódmkę na południowe pastwisko. Tym razem cob szedł jako pierwszy, a kasztan był znowu ostatni – zawsze na końcu, Staruszek – kiedy Dan zamykał za nimi bramkę. Kłaczka przewiesiła głowę przez górną belkę. Patrzyła za stadem wyruszającym w poranną wolność, kłus i postój, leniwy dryf między głazami, trzasa grzyw, smagające ogony. Podrośnięte źrebce pogalopowały po zboczu w stronę strugi. Dan przeciągnął dłońmi po brzuchu kłaczki, od kłębu aż do kolan, które ugiwały się pod ogromnym dla niej ciężarem. Wsłuchał się w ogromne wybrzuszenie.

– Nadal dwa rytmy – powiedziała Ginny.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, puszcze z dymem chałupę Shawa.

– Nie jesteś troglodytą.



Klaczka chciała przejść przez południową bramkę, ale zgodziła się na północną, którą zaoferował Dan. Wykolebała się z zagrody, a on podążył za nią.

– A może jestem – powiedział. – Powinnaś posłuchać, co mówią w miasteczku. Całymi dniami tylko to wałkują. Ciągle tylko ty i Shaw.

Skinął w kierunku dębu.

– Trzeba było zamknąć bramkę. Jesteś przecież inteligentna. Trzeba było zatrzeć za sobą ślady. Ochronić nas.

Klaczka szła przez północną łąkę, wypaloną jako ostatnia zaledwie dzień wcześniej. Od ziemi nadal czuć było silny swąd, poczerwiałe ściernisko ciągnęło się na ćwierć mili, aż do starego dębu. Dan podążył za klaczką.

– Przepraszam! – zawołała za nim Ginny.

– Chciałbym być troglodytą – zawołał w odpowiedzi. – Chciałbym zobaczyć, jak to jest.

– Przeprosiłam cię już setki razy.

Jego plecy były szczupłe i żylaste, z wgłębieniem pośrodku.

– To przepróż jeszcze raz.

– Przepraszam, że to zrobiłam.

Pochylił się i potarł kolana, które teraz bolały go już bezustannie.

– Nie pomogło.

– Przepraszam.

– Kochałem cię przez ten cały czas i to dobrze, nie?

– Tak.

– Co on ma takiego?

– Nie wiem.

– Przecież byłem dla ciebie dobry?

– Nie wiem, dlaczego – zawołała. – To było przyjemne. Nie mogłam się powstrzymać.

Nie opuścił głowy.

– Powinnaś usłyszeć, co oni gadają.

– Zapomnij o nich. Jesteśmy tylko my.

– Tylko my? – Na jego ustach pojawił się zły uśmiech.

Odwrócił się i ruszył w górę zbocza za klaczką, która dziarsko maszerowała do celu. Podążał za nią długimi, szybkimi krokami, trzy mile na godzinę pod górę. Kiedyś to zmierzył. Lubił linie proste. Jeśli poszedłby w linii prostej i minął dąb, przeskoczyłby ogrodzenie Shawa, które biegło wzdłuż okrągłego wzniesienia nad jego domem i stodołą. Potem poszedłby dalej w górę zboczem wzgórza Hintona aż do kamieniołomu Barrymana, a następnie jeszcze dwie godziny wzdłuż grzbietu aż do podnóża Mormorów, gdzie teren był już zbyt pobrużdżony skałami, aby na nim wypasać.

– Szuka cienia – krzyknął do Ginny. – Chodź. Będziesz mi potrzebna.

We trójkę przeparadowali tak ćwierć mili. Dąb był w tym regionie rzadkością, niewątpliwie nasiono przybyło wraz z ptasimi ekskrementami.

– Pośpiesz się, do cholery – powiedział, na szczęście już nieco spokojniej.

– Śpieszę się, do cholery – powiedziała w tym samym tonie, ale trzymała się z tyłu, zarówno ciałem, jak i myślami pozostając na skraju tego, co mamrotał pod nosem.

Czymże jest ziemia dla konia? To miejsce, gdzie można postawić kopyto, kolebka traw, podparcie pod nos, kiedy wyrывa się trawę z korzeniami. A Stada w ogóle nie obchodzą wsze czasy. Czasy lata lub zimy owszem, dni – owszem, a już na pewno zmiana wiatru i ciepło słońca na grzbietach. Zero zainteresowania gejzerami. Lizawkami – oczywiście. Koń był obserwatorem zajęтым własnymi sprawami, a że oczy przytwierdzono mu po bokach jego puszkowatej czaszki – obserwatorem peryferii. Co jednak z rzeczami tuż przed jego nosem? Był specjalistą od traw i wiatru, od miejsc, gdzie gryzonie wykopały nory, bo wystarczy jeden fałszywy krok, by na takim wgłębieniu strzaskać staw pęciny. A wtedy Stado zostawi Konia. A wtedy przyjdzie Wilk.

– Nikomu, kurwa, nie można ufać – mówił Dan, znów się zacietrzewiając. – A już na pewno, jak widać, naszym kurewskim żonom i matkom.

– Żadna ze mnie matka. Co tu mają do rzeczy matki?

– Od matek się zaczyna.



Zaczął wymieniać te same co zwykle przypadki złego prowadzenia się, bo nie ma to jak, prawiąc komuś kazanie, sięgnąć do przeszłości.

Dwanaście milionów lat temu, bo o to chodzi, Koń wraz ze swoim klanem skubie trawę w cieniu orzecha. Żony nim pomiatają, raz mu się oddają, a raz stają okoniem; potomkowie i rywale z odległych wzgórz obserwują zmiany w Stadzie i wietrze, wypatrując jakiegokolwiek błędu. Gdzieś dalej porykuje Niedźwiedź. Wieczny wygnaniec, przymierający głodem, wykopuje korzonki, wypatruje tego samego. Odrzucony ze względu na przerażający wygląd, choć samotny budzi jeszcze większy lęk. Stado kołysze ogonami, wyczuwając woń Niedźwiedzia, macha nimi, wyrażając chęć parzenia i witając poranne słońce na swoim kłębie, ale też żeby odgonić Muchę, choć Muchy na długo odgonić się nie da – ona przeżyje każdą katastrofę, bo żywi się porażką i kataklizmem: krwotokiem wewnętrznym, zarazą, erupcją wulkanu. Któreż stworzenie nie łaknie krwi? Które ciała nie posila ciałem? Niedźwiedź zjada Żrebca. Z ziemi nasiąkniętej żrebięcą krwią wyrośnie soczysta, jędrna, zielona trawa. Dokładnie tam ucztować będzie Klacz, która zapomni o żalu, kiedy nasyci swój głód.

– Chociaż Ella jest w porządku – mówi on. – Jeśli chodzi o matki. Tak dla jebanej uczciwości.

– Kurwa, pewnie – powiedziała słodko Ginny. – Żeby oddać jebaną sprawiedliwość jebanej Elli, która jest zajebiście w porządku. – Miała swoje granice, kląć potrafiła mocniej niż Dan, osiem dni w tygodniu, a niekiedy trzeba wybić klin klinem.

Szablożębny się skradał. Nosorożec i Wielbłąd, łamiąc gałęzie, dobierali się do owoców, które barwiły ich języki na czarno. Ziemia wirowała niczym derwisz, strzegąc swoich planetarnych spraw. Erupcja dopiero miała nastąpić. Kiedy nastąpiła, Koń właśnie przeżuwał; zamrugał tylko, kiedy zadrżało niebo, mroczne i na tysiąc mil wysokie. Myszołów ujrzał w oddali piętrzącą się chmurę – była coraz bliżej, przechylił skrzydła i szybko skierował się na południe, przecinając wiele rzek i szerokie połacie ziemi, jednak chmury się nie męczą, a skrzydła tak. W powietrzu pełno było osypujących się na

wszystko drobnych drzazg, mikroskopijnych odłamków szkła. Sikorka padła pierwsza, bo jej płuca utkane były najślabiej. Następny padł Żuraw – przeleciał przez chmurę na przestrzał, myśląc: to przecież tylko chmura; padł z zapchaną gardzielią, ze spopielonymi, splątanymi nogami.

Szczur wypadł z ptasiego gniazda, które właśnie plądrował, a zanim wypadł, upuścił jajo. Nie było jednak matki witającej wyklute Pisklę, nie było ciepła, robaka ani zwróconej odżywczej papki. W ciągu kilku godzin swojego życia Pisklę sądziło, że szary i cichy świat, którego jest jedynym mieszkańcem, to jego królestwo, wszystko, co kiedykolwiek będzie mu znane, nad czym panować będzie z wysokości swojej gałęzi jako władca dobry i sprawiedliwy. Dla niego jego żywot był długi i ciekawy, pomimo chłodu na nieopierzonej skórce i niewyjaśnionego bólu w brzuchu, śledziło wzrokiem nieboskłon z dziobem rozchylnym w niejasnym wyczekiwaniu.

– Saul to cholerny szczęściarz – mówił Dan.

– Jasne, cholera. Bo Ella jest taka zajebista.

Borsuk spadł z pnia, Pies z urwiska, popłynęły z prądem rzeki.

Koń zaś napawał się bólem, długim, nienasyconym. Stado powoli ruszyło do wodopoju. Błoto chłodziło ich kopyta, niosąc jedyną możliwą ulgę. Konie trącały pyskami źrebięta, nikłe pocieszenie w tak krótkim życiu. Ciężko było oddychać, coraz ciężej, z każdym wdechem więcej drzazg, więcej krwi. Mijały tygodnie. Kości gniły, a Stado kołysało się i czekało; uciskały narządy, bo nie miały już dokąd pójść. Jedna strona wygrywa, druga obumiera. Była to jedna z tych nielicznych koniunkcji skali, kiedy przyroda, z sobie tylko znanych przyczyn, robi przerwę od rutyny wylęgu życia i przez jakiś czas zajmuje się wyłącznie całkowitą i dogłębną anihilacją wielu swoich ukochanych dzieci.

– Ella, Ella – mówił, zatem...

Nosorożec padł ostatni – miał największe płuca, najszersze naczynia włosowate. Z daleka jego brzuch był gładkim okrągłym głazem.

– Dlaczego ja? – mówił.



Słońce weszło tak czy inaczej. Jutra są ślepe i bezlitosne. Wraz z nimi przybyli ludzie, króliki, turówka wonna. A potem nowi, dziwni ludzie na wozach. Żony już z brzuchem, szły podpierając się kosturami obok toczących się kół. Na wozach, pod płótnem jechały puszki mięsa. Przybysze pili ze strumieni. Zobaczyli wymalowane twarze skryte w krzewach, lotki strzał i groty, i pilnowali, aby nie zamókł im proch. Mężczyźni ustawili wozy w okrąg, a w środku schroniły się kobiety i dzieci. Odpędzili tubylców, zjedli króliki, wśród trzciny polowali na bizona – dla mięsa i garbowanych skór. Dan, tak jak wszyscy inni, znał historię mozolnego zdobywania Zachodu, a teraz, wspinając się w kierunku dębu, pogrążony w porażce, próbował zaczerpnąć sił z tego sukcesu, zaczerpnąć go od mężczyzn, którzy wówczas trudności pokonywali w pocie czoła, a studnie kopali kilofami i szpadlami dopiero, kiedy znaleźli czas na „odpoczynek”, bo potok był wystarczającym źródłem bieżącej wody. Z rozłupanych pni drzew stawiali ogrodzenia dla swoich wołów, zjadali swoje woły, kiedy głód zajrzał im w oczy. Żony padały jak muchy. Woły padały. Mężczyźni pojmwali za żony siostry, które przyjechały koleją z Baltimore, myśląc, że jadą zobaczyć nowo narodzone dzieci.

– Rozchmurz się – powiedziała. – Zawsze możesz sobie sprawić nową żonę. Do wyboru, do koloru.

Dan przysiadł, a ona go wyminęła. Został z tyłu.

– Niezbadane są ścieżki życia – powiedział czy też zapytał.

– Nie, nie są – odrzekła Ginny, nawet się nie odwracając. – Wszystko to wydarzyło się wcześniej już dziesięć milionów milionów razy, dziesięć miliardów razy pięćdziesiąt.

– To nie było dokładnie to.

– Nic nowego pod słońcem.

– I tu, kurwa, nie masz racji.

– Mam. I ty o tym wiesz.

Starzy mieszkańcy sadzili przywiezioną tu ze sobą kukurydzę, która czasem wyrastała – mizerna i mączna. Z tutejszymi ptakami najlepiej radziły sobie ziemniaki, ale upodobały je sobie jelenie

i bizony. Kanały doprowadzały wodę poruszającą żarnami, aż nastąpiła susza. Lemieszki łamały się na niewidocznych kamieniach. Ostrza zamawiano w St. Louis, trzeba było czekać na nie trzy miesiące. Zarówno ostrza, jak i siostry przybywały koleją. Z nieoheblowanych desek mężczyźni budowali stodoły i drzwi. Słońce świeciło cały czas, straszne słońce; Indianie knuli w każdym załomie i skalnej szczelinie. Dziewczęta plotły wianki z polnych kwiatów i czekały na chłopców ze wschodu. W innych czasach, w innych miejscach wiarołomne żony rzucano na pożarcie wulkanom. Nierząd w zestawieniu z kopulacją to zawsze i wszędzie delikatna sprawa – przyjemność czy grzech? Te góry były jednak osadowe, nie było w nich kalder. Żeby móc wrzucić do wulkanu niewierną żonę, trzeba by pojechać na południe, aż do rejonu Yellowstone albo dalej. Ale, ale, czy przypadkiem wulkany nie pragnęły dziewic? Wirginii – *ja biorę Wirginię* – do owulacji, ejakulacji, inseminacji, fertylizacji. Kto zdecydował, że te słowa będą się rymować?

– O czym ty, do diabła, mówisz? – powiedziała Ginny. – Przestań burczeć i chodź – dodała.

Wskazywała palcem na biedną małą klaczkę stojącą obok wielkiego starego dębu, który nie był stąd, zgodnie z prawem i naturą nie powinien był zapaść tu korzeni. Widok cierpiącej klaczki sprawił, że Dan wziął się za robotę. Podniósł się i poszedł, wciąż jednak gadał.

Może i nie ma tu wulkanów, ale za to jest mnóstwo węgla i płomieni, powszechnie czci się ogień. Wstający-o-świecie, wypalacze łąk, lud Dana, jego dolina. Wypalali swoje pola od dołu ku górze, całe rodziny ubrane w długie portki i buty ze wzmocnionymi stałą czubkami, do góry i w bok, do góry i w bok, z oczami łzawiącymi od dymu lecącego od sąsiada. Dolina była szeroka i sucha. Góry Mormora na wschodzie, czarne urwiska bez podgórze, wysokie na milę zasłony, żeby nie było świadków. I żeby długo po świcie nie było też słońca.

– Pieprzenie to klucz – powiedział. – Pieprzenie to początek. Pieprzenie to koniec.

– Amen.



PERSZERON

- Uwielbiam tak mówić.
- Mów tak długo, jak musisz.

Spod dębu rozwijał się widok na całą dolinę. Pola płonęły w jej wyższych i niższych partiach. Dziedzice gołych pól – stąd zaledwie małe plamki uwijające się przy słupach dymu – ze swoich stodół aż do najniżej położonych ogrodzeń dźwigali motyki, grabie i kanistry wypełnione benzyną. Ginny i Dan nie musieli oglądać tego z bliska. Oglądanie z daleka całkowicie im wystarczało. Sąsiedzi rozwinęli szlauch na ubitej glebie, całkowicie odkręcając zawory. Wąż plunął wodą. Popłynęła szerokim strumieniem. Wówczas zapalono miotacze ognia do wypalania chwastów. Zeszłoroczna trawa była sucha i zbita. Płomień rozprzestrzenił się szybko przy najbliższym nawet powiewie. Co roku jedna czwarta terenu pierwszych wzgórz wypala się jeszcze zanim słońce sięgnie szczytu Głowy Świętego. Sąsiedzi machają szpadlami i grabiami do sąsiadów machających im szpadlami i grabiami z drugiego brzegu strumienia. Już od stu lat tak chodzą, w górę i w poprzek tych pól, wypasając ogień. I jeszcze sto kolejnych będą tłumić płomień butami na szczytach wzgórz, a potem schodzić w dół zbocza i rozniecać kolejny ogień, aż całą dolinę wypełni czarny dym. Dzieciaki zawsze skakać będą przez płomień. Rodzice zawsze będą je rugać – cóż za uporczywy znój – i do tego już od rana w piekielnym upale. Ci ludzie będą pili ze szlauchów i strumieni, a dym będzie unosił się pomiędzy wzgórzami, wymieszany z lepkością wiosennych kielków i pąków, z łajnem na skórze, z nalotem na zębach. Języki i wargi spluną, kiedy nad głowami przeleci samolot. Samolot zlicza wypalanki w całym regionie, ten lot z Elkins do Romeo. Na poniedziałek ma być gotowe sprawozdanie dla komisarza, a w nim „wypalanie przez dwa tygodnie w okolicy St. Cecilia, głównie w małych gospodarstwach hodowlanych – owce, bydło, kilka pastwisk dla koni. Średnio dwieście do dwóch tysięcy akrów. Niebawem będzie zbyt upalnie i sucho, nieroztropnie będzie wypalać. Zapłon będzie wtedy następował w wyniku uderzenia błyskawic – spadających po północy, przesuwających się z zachodu na wschód nad kolejnymi

wzgórzami, nad farmami i ranczami, czasem rozgałęziających się, by dotknąć zaniedbanej roli, dachu stodoły rozsychającego od dziesięcioleci, jakiegoś nieszczęsnego domostwa, by potem odejść niczym niewiniątka o nieczystym sumieniu, dwadzieścia tysięcy stóp nad najwyższym wzniesieniem, w kierunku rezerwatów”.

– Tylko że żaden komisarz by tak nie powiedział – mówi ona.

Ludzie machają do samolotu szlauchami. Łuki wody rozbłyskują w słońcu, błyszczą dysze. Zawsze to samo. Ich oczy robią się mokre. Ocierają je spoconymi nadgarstkami. Samolot buja skrzydłami – życzliwy nietutejszy. Linie ognia są śliczne i zapadają w pamięć. To nowoczesne lotnictwo. Samolot przechyla się i zmienia kurs na pasmo Głowy Świętego, za cel obierając jezioro Gunsight¹.

– Cicho, myślę – mówi Dan i zasłania ręką oczy. – Może by go tak pomagać kijem bejsbolowym.

– Nie masz kija bejsbolowego.

– Zatruję mu studnię.

– Nigdy nie byłeś złośliwy.

– Teraz jestem.

Dym na wzgórzach nadal przylegał do ziemi. Tylko leniwi ranczerzy wypalają tak późno w ciągu dnia. A oto dąb, który pamięta wozy osadników. Z rozłożystymi ramionami, wymęczony upałem. Klaczka padła w jego cieniu niczym pusta sakwa.

– Przesuń ją z tego korzenia – powiedziała Ginny.

Dan usiadł na jednej z nisko rosnących gałęzi.

– Ona nawet go nie czuje. To pestka.

– Liczy się wygoda – Ginny spróbowała rozkołysać klaczkę, a potem usadowiła się przy niej.

– Ty mi nie mów o wygodzie.

1 Jezioro Gunsight położone jest w Parku Narodowym Glacier, w amerykańskim stanie Montana. Jego nazwa oznacza celownik strzelecki (przyp. tłum.).



Czekali za źrebię, nic innego nie było do roboty. U Shawa zadzwonił dzwonek. Złoczyńca perszeron pojawił się przy jego płocie. Dłoń Ginny zagłębiła się we wnętrzościach klaczy.

– Prawie widać łeb – wytarła dłoń o spodnie. – No dalej, kochanie. Wyłaź.

– Złap za nogę.

– Jeszcze nie teraz.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a poranne cienie kurczyły się. Dan rzucał kamieniami w ogiera, ale nie mógł trafić. Perszeron tylko machnął ogonem.

– Pewnie, rzucaj kamieniami, jeśli to ci dobrze zrobi.

– Nic mi dobrze nie zrobi.

Perszeron kopnął w bramkę. Nowa stal zaklekotała – spasowana jak trzeba, zespawana, zawiasy dostosowane do dużych obciążeń – zupełnie rozwalona w miejscu, gdzie staranowała ją półciążarówka. „ZAMYKAĆ BRAMĘ – KONIE” zawieszono na górnej poprzeczce. Ogier był siwy i ogromny, osiemnaście dłoni² w kłębie, ważył ponad tonę.

– Perszerony hodowano na wojnę – powiedział Dan.

– Skończ już z tym. Skup się.

Zdjęła z siebie flanelową koszulkę, pod spodem miała koszulkę z krótkim rękawem. Jej dłoń powędrowała z powrotem do wnętrza klaczy.

– Francuzi rozgromili Arabów. Zabrali ich konie do Francji. Skrzyżowali je z dzikimi francuskimi. Zajęło to tysiąc lat.

Bramka zaklekotała.

– Dan, robota czeka.

Klacz naprężyła się. Pracę trzonowców ogiera słyhać było na trzydzieści kroków, kiedy przeżuwał wysuszone źdźbła z ubiegłego roku.

2 Dłoń (hand) – dawna jednostka miary odpowiadająca szerokości dłoni, ustandaryzowanej do 4 cali, czyli ok. 10 cm. Obecnie używana do podawania wysokości konia, mierzonej od ziemi do podstawy szyi, tj. kłębu. Osiemnaście dłoni oznacza tu wysokość ok. 180 cm w kłębie (przyp. tłum.).

Rodzina Shawa przybyła tu z Chicago, a w Chicago nie wypala się pastwisk.

– To źrebię to pomiot wojny i grabieży – powiedział. – I co ty na to?

– Przydałaby mi się pomoc.

– Złap za nogę i pociągnij.

– Skąd ta krew? – mówiła teraz do swojej dłoni.

Wyłonił się łeb, a potem szyja. Intymny moment. Dan uciął witkę i machnął nią w powietrzu jak batem.

– Perszerony to druga rasa pod względem wielkości. Konie rasy shire je prześcigają, są największe na świecie. Konie rasy klajdesdal są na trzecim miejscu. Hodowcy klajdesdali nie zgadzają się z tym. Perszerony biją wszystkie rekordy. To niepodważalne.

– Zamknij się – rzekła. – I chodź tutaj.

Klacz biła kopytem powietrze. Dan odganiał jej muchy z pyska. Perszeron paść się i paść. W końcu co dla konia oznaczają narodziny i śmierć? Niewarte nawet uwagi.

Żrebak wypadł wreszcie, szary i ogromny. Klacz schyliła pysk ku jego siwym uszom położonym do tyłu, zaczęła wylizywać pysk i złożone tuż pod nim patykowate nogi – złożone i nieruchome. Żrebię przybyło ciepłe, ale już stygło. Dan przeciągnął je za tylne kopyto na słońce po drugiej stronie dębu. Klacz przestała węszyć i ułożyła łeb na ściernisku. Jej brzuch unosił się i opadał.

– Lepiej przygotuj się do wstania – powiedziała Ginny, wsuwając dłoń za kantar, nie pociągnęła jednak, jeszcze nie. Chwiejnie usiadła przy ogrodzeniu, twarz kryjąc w kolanach. Ściągnęła z siebie kombinezon i przerzuciła przez ogrodzenie, siedziała teraz w dżinsach. Nadal młoda. Perszeron, sięgając ponad ogrodzeniem, skubał jej włosy swoimi wielkimi wargami. Odepchnęła jego łeb. Wiał gorący wiatr. Dan zszedł do stodoły i wrócił ze szpadlem. Wykopał dół, a Ginny zgrabiła do niego łożysko. Podważyła kamień.

– Kamień jedynie na pokaz – powiedział. – Tylko spowalnia kojoty.

– Nie będzie im się chciało – odrzekła. – O tej porze roku mają mnóstwo żarcia.



Przycisnął zasypany dół kamieniem. Przysiadł z powrotem na konarze. To wszystko kiedyś było jedną wielką falą kamieni, osypisk z Mormorów. Wyobraź sobie, jak spadały. Nowe usypiska i wąwozy. Jak dziwna musiała wydawać się ta nowa góra po osunięciu. Małe wąwoziki później wypełnił wiatr, liście i pył, a potem porosły je korzenie i darń, aż w końcu nawet największe głazy zostały pogrzebane aż po brodę: *Tu spoczywa Głaz wielki jak twoja stodoła. W dniu zmartwychwstania ją zmiażdżę.*

– To nieuleczalne.

– Milczenie jest jedynym lekarstwem na nieuleczalne.

Spróbowali nakłonić klacz, aby się podniosła, ale bezskutecznie. Widzieli bydło i konie w dole, ogień, który zamazywał wzgórze sąsiadów, Miltonów i Johnsonów, Baltazarów i Cortezów, skupisko metyskie, choć już powżeniane, wymieszane z Boltami, Blake’ami i rdzennymi klanami, którzy zebrali się w sobie i poszli do Kongresu, skąd wrócili zdegustowani. Shawowie. Samolot z pontonami leciał aż za Głowę Świętego, w kierunku jezior, do których nie dało się dojść na piechotę Szlakiem Starego Szweda. Dan pomyślał: „wyszczierz się i znoś to”, znowu będą siostry, wesela.

– Podczas burz i napaści – powiedział – wpychali woły przez drzwi swoich chat, łajno wyrzucali łopatami na zewnątrz przez maleńkie okienka, suszyli, układali w stosy, palili tym podczas zimy, piekli na nim.

– Aha – odrzekła Ginny.

– To nadawało skórze aromat – powiedział. – Prali w bajorkach.

Popatrzył na żonę, myśląc o kobietach, które obracały twarz w jedną i drugą stronę nachylone pomiędzy porośniętymi mchem kamieniami, bo ich lusterka utonęły w rzekach Nebraski, przez które przeprowały się ich woły. Prostokąty szkła wirujące z nurtem ku Missisipi, toczące się na południe, ostrzyły się na kamieniach, aż w końcu rozcinały brzuch jakiemuś biedakowi w Zatoce Meksykańskiej. Spodobała mu się ta myśl. Usta przyciemniały jagodami. Nadawały one kobietom różowości. Dobrze, że ci mężczy pionierzy nie byli za bardzo wybredni.

– Będzie musiała niedługo stanąć na nogi – powiedział Dan, mając na myśli klacz.

– Stanie.

– Jeśli nie, to w dole wyląduje dwoje, a nie jedno.

– Daj jej chwilę, musi się pozbierać.

Zaciągnęli źrebca do dołu na padlinę. Był lekki. Każde niosło za dwa kopytka, w dół do zagrody, obok stodoły. Na skraju stała mała koparka. Rozkołysali źrebaka jak hamak, na raz, dwa, trzy. Sturlał się w dół, gdzie dołączył do nowo narodzonych martwych cieląt i wymarzniętych piskląt oraz lisa, którego zastrzelił Dan. Dół ocieniony był wielkim orzechem. Zасыпали nieco wapnem.

– Będzie trzeba więcej wapna – powiedział.

– Wczoraj zamówiłam.

– Ładny był ten źrebak – przyprószył źrebca cienką warstewką. – Mógłby wygrywać w konkursach.

Tuż obok przeleciał motyl, tak blisko, że słyszeli, jak pracują mu mięśnie i ścięgna.

– Tylu nie dałoby wiary, że można – powiedział Dan.

– Co można?

– Usłyszeć motyla.

Mały, brązowawy z białym brzeżkiem, niemal niewart uwagi. Przeleciał przez unoszącą się w powietrzu chmurę wapna. Zaczęli kasłać i zakryli twarze rękawami i skórą.

– Byłoby łatwiej, gdybyś ty też umarła – powiedział.

– No cóż, nie umarłam.

– Jak drzazga. Jak tasiemiec. W końcu to ze mnie wylezie.

– Nie pozwól na to.

– Może poczułbym się lepiej, gdybym ci przyłożył. Może by mi ulżyło.

– To zrób to – powiedziała.

Zacisnęła pięść.

– No dalej.



Zahaczył o czubek jej głowy, ale był zbyt zdenerwowany, żeby dobrze przymierzyć. Podniósł szpadel, ale ona wyjęła mu go z ręki. Wrzuciła go do dołu z wapnem.

– Wystarczy.

Usiedli na brzegu, nie zwracając uwagi na smród.

– Czy ja jestem dobrym człowiekiem? Czy nie?

– Jesteś dobrym człowiekiem w złym humorze.

– Chciałbym poczuć się lepiej. Jak mam to zrobić?

– A skąd ja mam to wiedzieć.

– Musimy być ostrożni. Musimy to przemyśleć.

– Racja. Musimy to dobrze przemyśleć.

Przysunął się do niej.

– Powinnaś okazywać mi więcej czułości. To jedna sprawa.

– Wiem.

– Powinnaś mnie dotykać. Tak jak jego.

Oplótł nogami jej uda, ramionami otoczył jej talię. Wwąchał się w jej szyję.

– Żeby już był spokój.

– Już niedługo – powiedziała. – Daj mi nieco czasu.

Motyl opadł do dołu z wapnem. Kołysał ją na skraju dołu, a ona mu na to pozwalała.

– Wśród ssaków lądowych koń ma największe oczy.

– Mówiłeś.

– Ludzie myślą, że lwy, myślą, że słonie. Ludziom wciąż ulewają się błędy i niezręczności.

– Wiem, wiem – delikatnie rozsunęła jego przedramiona. – Wracajmy.

Wstali i otrzepali się z pyłu. Motyl polatywał pomiędzy wysokimi ścianami wyciętymi w ziemi, lądując na zadzie, potem na czole, a potem na podgnitym, oznakowanym kolczykiem uchu, gdzie nieco się napił. Na kopycie, na wardze, na ogrzonym słońcem boku, następnie na jądrach, aż w końcu wapno przypaliło mu końcówki tych odnóży. Odfrunął, aby je schłodzić. Gdzie indziej lądowały samoloty,

kołowały do końca pasów, gdzie je mocowano i uzupełniano paliwo. Inne opadały na niebieskie tafle jezior, rozganiając kaczki, wystawione z pontonów wędkę, podwinięte rękawy, spalone słońcem kolana, palce u stóp kołyszające się beznamiętnie jak przynęta.

Poszli razem, sztywno, pod rękę.

Po wzgórzach i ponad strumieniami wieści szybko się roznoszą. Pierwsi pojawili się Saul i Ella, wzbijając smugę pyłu.

– Siostra jedzie z odsieczą – powiedział Dan.

Ich półciężarówka zatrzymała się tuż przed zardzewiałym brzeszczotem wiszącym na ścianie stodoły. Ginny nawet na nich nie spojrzała, kiedy wspinali się po zboczu, niosąc między sobą przenośną łódzkę turystyczną. Przywieźli także piłę masarską, paczkę czipsów, rum z colą w starej butelce po mleku. Saul odkręcił nakrętkę, napił się, podał dalej.

– Biedna – powiedział Saul. Piłę oparł o dąb. Ella puściła w obieg czipsy. Harem siwych kłaczy perszerona dołączył do niego przy ogrodzeniu. Skubały trawę i gapiły się na przedstawienie.

– Skurczybyk – powiedział Saul. – Ogier gigant.

Ginny opróżniła butelkę aż do samych mętów. Kłacz wydawała się spać z otwartymi oczami.

– Mimo wszystko – powiedział Saul – pieprzenie to część przyrody. Żrebaki itede.

– Fakt – orzekł Dan. – Wszyscy chcemy się pieprzyć.

Ginny rzuciła butelką.

– Popatrz tylko na jego rozmiary – powiedziała Ella. – Wyobraź sobie, że coś takiego na ciebie włązi.

– Po co przyjechaliście? – odparła Ginny.

– A może zawrzyjmy pokój – wtrącił Dan. – Tylko na dziś.

– Nie potrzebujemy pomocy – powiedziała Ginny.

– To ja ich zaprosiłem – odpowiedział Dan.

– To prywatna sprawa.

– Oni chcą. To rodzina.



– Babka nigdy nie odrzucała pomocnej dłoni – powiedziała Ella.
– Babka nie żyje – sparowała Ginny. – I to chyba już ładną chwilę. Saul podważył kapsel obrączką. Piwo spieniło mu się na rękę. Oblizwał palce.

– Taki kutas – zauważyła Ella. – Każdą klacz by przeniecował.

– Ty chyba naprawdę się nad tym zastanawiałaś – powiedziała Ginny. Saula to rozbawiło, ale Ella uciszyła go spojrzeniem.

– U psów to nie mogłoby się zdarzyć – powiedział. – Rozmiar suki decyduje o wielkości szczeniaków. Filigranowa suczka sparzona z bernardynem urodzi filigranowe bernardynki. Nie ma kłopotu z miednicą.

– Musimy ją podnieść na nogi – orzekł Dan.

– Koń, który nie stoi na własnych nogach, szybko zdycha – powiedziała Ella.

– Nawet w kilka godzin – dodał Saul.

– Wstanie – powiedziała Ginny.

– Czemu nie poszukasz Shawa? – powiedziała Ella. – Czemu za nim nie pobeigniesz?

– A zamkniesz ty tę swoją wiecznie rozwartą jadaczkę? – odparła Ginny.

– Przyjechaliśmy tu z powodu konia – powiedziała Ella.

– Potrzebujemy planu, nie darcia kotów – wtrącił Saul. – Sytuacja jest awaryjna.

– Podnieśmy ją – powiedziała Ginny. – A potem oboje możecie pojechać sobie do domu.

Nadszedł już czas, by ciągnąć za kantar, napierać na zad, masować łopatki, szeptać do ucha. Dan delikatnie opukał ją batem, a potem dał jej spokój. Mężczyźni rozpięli koszule i rozebrali się do gołej skóry. Kobiety podwinęły nogawki dżinsów. Dachy w miasteczku były jak kamyczki. Stadion jak podkowa. Od czasu do czasu nadlatywały okrzyki tłumu.

– Ciekawe, kto prowadzi – powiedziała Ella.

– Wygra Sedalia – odrzekł Saul. – Mamy lepszych roperów, ale gorszych jeźdźców.

– Kogo obchodzą roperzy – powiedział Dan. – Ustawcie jej nogi.

– No chodź, maleńka – zawołała Ginny. – Wstajemy.

Namawiali, ciągnęli, kołysali.

– Skurczybyk – powiedział Saul.

– Podnieście ją, do cholery – dodała Ella.

Saul pobiegł na dół zadzwonić. Klacz nadal leżała bez ruchu. W tumanie pyłu nadjechał kolejny wóz i zaparkował przy stodole pod zwisającym brzeszczotem. Nowo przybyli wspinali się na wzgórce, w rękach niosąc butelki.

– Mówię wam, że to kolka – rzekł pierwszy. Pokazał im swój pistolet. – To w razie najgorszego.

Umieścił broń w wykrocie, podczas gdy Dan otwierał kolejne piwa obrączką, tak samo jak Saul. Najpierw gawędzili o bydłe i rozmiarach amunicji, a potem krótko o pozwie dotyczącym rezerwatu, śmiesznych roszczeniach do ziemi wysuwanych przez Indian, potem zaś o ostrzeżeniu narzędzi – poradach i całym tym zamieszaniu wokół cęgów do kopyt, zbliżającej się aukcji w fabryce konserw, działkach leśnych i wozie z nadwoziem skrzyniowym na kanadyjskich blachach – do kupienia u dilerów używanych samochodów w Romeo, niezła sztuka, dzieciach wyjeżdżających na studia i pustych gniazdach. O tym, że Shaw wyjechał. Ginny siedziała przy klaczce, wydłubując ziemię z obcasów swoich butów.

– Jak się u was paliło? – zapytał Saul.

– Szybko i gorąco, dzięki Bogu – zagryzali lodem. – Kolka, na pewno.

– To nie kolka – powiedział trzeci z mężczyzn, przybyły przed chwilą, pożyczając nóż, żeby pokroić bułki.

– Widziałem już coś takiego – powiedział Saul. – Żrebię naciska na nerw podczas porodu. W nerwie zanika czucie.

– To się zdarza u wszystkich ssaków – powiedział sąsiad ze scyzorykiem.

– To nie to – powiedział sąsiad z pistoletem.

– Zdejmijcie jej ciężar z nerwu – powiedział Saul. – Postawcie ją tak, żeby nie było ucisku.

– Ma zapalenie jelit – powiedział pistolet.



– Zaplątały się w narządy rozrodcze – powiedział scyzoryk.
 – Jest zmęczona – powiedziała Ginny. – I tyle.
 – Nie może być zmęczona, jeśli chce przeżyć – odparła Ella. – Jeśli będzie słaba, już jest martwa.

– Zdarta płyta – odpowiedziała Ginny.
 – Może gdyby udało się ją jakoś unieść – zastanowił się Saul.
 – Podwiesimy ją – powiedział Dan.
 – Ten koń przeżywa żałobę – orzekł scyzoryk.
 – Konie nie przeżywają żałoby – powiedział mężczyzna z katarem.
 – Pewnie, że przeżywają – powiedział Saul.

Nadjechał sąsiad na białym koniu, przytaszczył wykrywacz metalu. Perszeron odprowadził swoje klacze gdzie indziej.

– Shaw wczoraj wyjechał – powiedział przybyły.
 – Ona chce pojechać za nim – powiedziała Ella.
 – Pierdol się. I odpierdol się – odparła Ginny.
 – Nigdzie nie jedzie – powiedział Dan. – Zostaje.
 – Bo jak nie – dodał wykrywacz metalu – to już się żaden kiermasz w St. Cecilia nie uda. I jak to przeżyjemy?

Ella odwróciła się do niego gwałtownie:

– Dla ciebie wszystko to żart.
 – Postawmy tę klacz – powiedziała Ginny.
 – Nie z tobą rozmawiamy – odparła Ella.
 – A jednak tu jestem – powiedziała Ginny, stając twarzą w twarz ze swoją siostrą.

– Lepiej by było, żeby odjechała wraz z nim. Należy jej się coś więcej niż zwykły policzek.

– Od lat to słyszę, Ella – odrzekła Ginny. – Nudy, Ella, same nudy.
 – Nie ma nic złego w nudach. Zasłużyłam na nudy. Jestem z nich dumna. Nudy są uczciwe. A jeśli to twoje jest podniecające, to lepiej idź podniecaj się gdzie indziej.

– Chwila moment – powiedział Saul. – To Dan zdecyduje.

– Nikt cię tu już nie chce – powiedziała Ella. – Leć łapać Shawa. Uwij sobie miłosne gniazdko w Pollings albo Cheyenne.

– Chwila moment – powiedział Dan. – Jeszcze nie zdecydowałem.
– Moje rancho – powiedziała Ginny. – Spierdalaj.
– Twoje rancho – powtórzyła Ella. Przepchnęła się obok Ginny, prawie ją odpychając, a potem zawróciła do klaczy. Jej siostra trzęsa się, cała czerwona.

– O tym mówię – powiedział Saul. – Właśnie o tym.

Mężczyźni pociągnęli z butelek i uśmiechnęli się. Klacz trąciła pyskiem pusty kubek.

– Ta mała potrzebuje wiadra wody na cito! – zawołał Saul. Dzieci pobiegły do studni.

– Wracajcie do domu – powiedziała Ginny, zbierając się w garść. – Dan i ja sobie poradzimy.

Dan kopnął płat sadzy.

– Ja myślę, że ich potrzebujemy.

– Daj spokój – powiedział Saul. – Rozluźnij się. To dobrze, że tu jesteśmy.

Niedługo potem Ella i Ginny klęczały przy nieruchomej klaczy. Twarz Ginny była ubrudzona i ciemna, podczas gdy plamy słońca przenikającego pomiędzy liśćmi rozświetlały twarz Elli. Była to urocza twarz, na progu starości. Pojawiły się już pierwsze zmarszczki. Saul ssał źdźbło trawy. Obwiązali klacz sznurami. Ponad nimi krążyły muchy. Przybywało coraz więcej sąsiadów z drugiego brzegu strumienia, niosły się nawoływania „Hej!”. Brnęli przez głązy, a potem prostowali się, w miarę jak wspinali się po zboczach. Ella wydawała kubki.

– Czy ktoś przyniósł pistolet? – zapytał jeden z przybyłych, obejmując klacz.

Przynieśli ze stodoły dwie belki, które miały posłużyć za dźwignię, złożyli je przy klaczy.

– Perszeron musi być albo kary, albo siwy – mówił Saul – bo inaczej nie dostanie w Ameryce papierów. Silny i uległy, pomimo swoich rozmiarów. Hodowano je do pługów i wozu.

– Nie znałem tej nazwy – powiedział sąsiad, który przed chwilą przyjechał na motorze.



– Na długo zanim pojawiły się samochody i traktory – dodał Saul – perszeron i jemu podobne stanowiły siłę napędową naszych gospodarstw i naszego narodu.

– To były dobre czasy – powiedział scyzoryk.

Usiedli na belkach. Usta schłodzili likierem Fireball. Wsunęli pierwszą belkę pod zad klaczy, aby ją podeprzeć. Klacz nie kopała, było jej wszystko jedno.

– Delikatnie – powiedział Dan. – Jest obolała.

– To głupie – powiedział rower.

Potem druga belka.

– Na trzy – zakomenderował Dan. Podźwignęli ją. Klacz uniosła się na kilka cali, a potem opadła. Wiadro przewróciło się, a woda rozlała.

– Skucha – powiedział Saul. – Pierwsza próba.

– Mam lepsze rzeczy do roboty – powiedział wykrywacz metali. Odwiązał swojego konia i odszedł z nim, wykrywacz zostawiając dziewczynce, która go o to wybłagała. Powiedział, że ma mu go przynieść, jak skończą. Odczyli belki na bok, usiedli i znów wypili. Przyglądali się światu, rozmawiali o padłym bydle, wapnie i motylach. O indiańskiej szkole, której skończyły się fundusze, bo pieniądze nie rosną na drzewach, a na dobre życie zarabia się ciężką pracą, oczywiście, oczywiście. Oszustom i żebrakom nigdy się nie wiedzie. Patykami kreślili w pyłe plany, dźwignie i podwieszki, zamazywali je dłońmi i obcasami.

– To dobry plan – powiedział Saul.

Ucięli sobie drzemkę.

– Wystarczy mi pięć minut.

Troje poszło do miasteczka po ostrą musztardę, więcej piwa, gin. Zajechały nowe wozy.

– To ile umiera koń?

– To zależy – odpowiedział Saul, w miarę przytomny.

Dym rozciągnął się wysoko. Mgła zatrzymała się niedaleko pasma Głowy Świętego. Dan sprawdził puls na tylnej kończynie klaczy. Ginny zawołała, że idzie po więcej wody. Perszeron poskubał kapelusze Dana,

który odepchnął pysk żartownisia. Patrzył, jak Ginny idzie w dół zbocza, wymachując wiadrem. Na starym ranczu zamiast bieżącej wody była dziewczyna biegająca z cebrzykiem.

– Dwie dziewczyny – zauważyła Ella.

Mitrężyła czas, obserwując kijanki. Znała wszystkie kwiaty. Chata zrobiona była z bali, bal po balu, dwuręczna piła ponad stosami trocin. Przeciągnij nożem, żeby odłupać korę, uważaj na palce, chłopcze. Wyoblj, zaznacz, wbij na miejsce. Na czop i gniazdo łączymy legary i płatwie; bloczki linowe, trójnóg i wysięgnik. Najgładsze wycięcia wychodzą dłutem. Korbuj wiertarką, a potem wbij kołki. Nawet trzęsienie ziemi nie zburzy tych narożników, chociaż domem może zakołysać. Wytnij murawę. Zmierz. Blacha przyjdzie później. Indianie obserwują dom ze wzgórza. Wspinają się na ten młody dąb, przyczajają na konarach i w rozwidleniach. Kradną psa, konia, dziewczynę. I co ma zrobić biały człowiek? Ale od Indian szło się nauczyć świetnych sztuczek. Wzniesli toast. Jeśli dziewczęta zachowywały się nieprzyzwoicie, na przykład, jeśli ktoś miał smykałkę do szycia, jeśli wszyło się kamienie w podszewkę jak należy, jeśli staw był głęboki.

– Problem z kobietami jest taki, że nie mają żadnych hamulców – powiedział Dan siedzący na słupie od bramki. Dużo niżej stała Ginny. Znow wyglądała jak dziewczyna, z wiadrem kołyszącym się na końcu ładnego, silnego ramienia.

– Nadal jest śliczna – powiedział Saul, a inni mężczyźni przytaknęli. Ella popatrzyła z góry na siostrę. Bez słowa komentarla napelniła im kubki.

Patrzyli, jak Ginny zmierza do bramki zagrody, jej kowbojki brnące przez proch, jej ślady przenikające się ze śladami koni i wszelkich innych stworzeń. Słońce stało już wysoko. Otarła brew rękawem.

– Zawsze podobała się facetom – powiedział Dan.

– Uciałbym mu jaja i wrzucił w ruchome piaski – powiedział sąsiad z pistoletem.



– „Ja czekam trzeci dzień, patrzę na drzwi...”³ – powiedział sąsiad ze szczyrykiem.

– Kłamcy i wiarołomcy wygrywają – powiedział postawny sąsiad, który przyjechał na bułanym wałachu z obuchem na ramieniu. – Zwy-
ciężają najlepiej przystosowani.

– To przygnębiające – powiedział Saul.

– Ale prawdziwe – dodała Ella.

– Wiedziała, co robi – powiedział pistolet, bawiąc się piłą masarską. Saul powiedział, żeby odpuścić.

Byli zadowoleni i spokojni, lekki wiatr przewiewał dym pomiędzy wzgórzami.

– Mówi, że z tym skończyła – odezwał się Dan.

– Wiarołomcy nie kończą – powiedział pistolet. – Kiedy już raz tego posmakowali.

Klacz zakołysała się, jakby próbując wstać, parsknęła i wierzgnęła. Ginny przy studni, pompuje, w górę i w dół, w górę i w dół.

– Shawowi musiało się to podobać.

Dan kopnął oponę wozu, przeparkowanego tu, żeby można było usiąść na pace. Woda tryskająca z pompy obryzgała jej kowbojki, naj-
pierw jedna obnażona kostka, potem druga. Wiadro się przechyliło. Pochyliła się, żeby wziąć łyk, a potem zostawiła mokre ślady stóp, kierując się ku babcinej werandzie. Trzy kamienne stopnie. Dłoń osłaniająca oczy przed słońcem. Jej buty rzucone obok.

– Wygląda, jakby słyszała, co mówimy – powiedział Saul.

– Za daleko – odezwała się Ella.

Dan rozciągnął się na ziemi, splótł palce za głową.

– A w ogóle – powiedział obuch – nie ma czegoś takiego jak ruchome piaski. Ruchome piaski to ściema.

3 W oryginale wykorzystano tu fragment piosenki *Waiting in the Weeds* zespołu The Eagles: „Waiting in the weeds like that”. Jest to nawiązanie do sytuacji, w której zakochany mężczyzna, przyczajony w zaroślach, obserwuje ukochaną z innym, mając nadzieję, że kiedyś jej uczucia się odmienią (przyp. tłum.).